



Paul d'Ivoi WYSPA ZŁOTA

Druga część cyklu „Pirat Triplex”



BIBLIOTEKA
SZLAKIEM PRZYGODY
ANDRZEJA

35

ISBN 978-83-66268-84-5 (całość)
ISBN 978-83-66268-86-9 (część 2)

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Paul d'Ivoi

WYSPA ZŁOTA



Paul d'Ivoi to pseudonim Paula Deleutre (1856-1915), pochodzącego z rodu pisarzy. Jego dziadek Edouard i ojciec Charles również podpisywali niektóre swe dzieła pseudonimem Paul d'Ivoi.

Studiował prawo w Paryżu, ale podążył drogą ojca i dziadka, wybierając literaturę. Zadebiutował jako żurnalista w dziennikach „Paris-Journal” i „Figaro”. Pod pseudonimem Paul d'Ivoi pisywał też do tygodników ilustrowanych „Journal des Voyages” i „Petit Journal”.

Działalność literacką zaczął od sztuk bulwarowych: *Le mari de ma femme* (1887) czy *La pie au nid* (1887) oraz kilku powieści w odcinkach, które nie zwróciły uwagi, jak *Le capitaine Jean*, *La femme au diadème rouge*, *Olympia et Cie*.

W latach 1894-1914 wydał 21 książek tworzących serię „Voyages excentriques” [Dziwne podróże], wykorzystującą wzór „Voyages extraordinaires” Julesa Verne'a. Podobne były nawet okładki, powtarzały się także te same motywy. Obaj autorzy dzielali to samo nastawienie do czytelnika, pragnienie zapewniania mu rozrywki i wiedzy (geograficznej, przyrodniczej, technicznej). Z entuzjazmem dla rozwoju nauki i wynalazków łączyły się obawy przed niewłaściwym ich wykorzystywaniem.

W roku 1894 pierwszy tom tej serii, tworzący trzyczęściowy cykl *Les Cinq Sous de Lavarède*, napisany wspólnie z Henrim Chabrillem, przyniósł mu sławę. Była to jego najbardziej realistyczna powieść, następne bowiem stawały się coraz bardziej naukowe i przesyczone fantazją umyślnie naiwną. Seria, ukazująca się w wydawnictwie Boivin et Cie, była przeznaczona dla młodzieży. Kolejne tomy ukazywały się z częstotliwością jednej powieści na rok.

Paul d'Ivoi tworzył też, razem z pułkownikiem Royetem, opowiadania patriotyczne, np. *Les briseurs d'épée*, a także historyczne, pod pseudonimem Paul Eric, np. *Les cinquante*. Występują w nich typowe dla owej epoki stereotypy dotyczące poszczególnych narodów i ras.

Patriotyzm d'Ivoi zbliża się niekiedy do nacjonalizmu. W złym świetle przedstawiani są głównie Niemcy, a także Anglicy zagrażający francuskim interesom. Wychwalane są za to zalety Francuzów i ich umysłowość (*esprit parisienne*, „duch paryski”, wyrażający się pomysłowością, bystrością umysłu, skłonnością do płatania figli, lekkim traktowaniem prawa i zasad, zapalczywością, a przy tym nieskazitelną prawością).

Książki Paula d'Ivoi cieszyły się prawie do końca XX wieku dużą popularnością we Francji, miały wiele wydań.

Wielu czytelników, zwłaszcza młodych, przedkładało je nad dzieła Verne'a, gdyż zawierały więcej przygód, a ich akcja toczyła się szybciej. Toteż na przykład Jean-Paul Sartre pisał w swej autobiografii *Les Mots*, że zawierały więcej nadzwyczajności.

Paul d'Ivoi



WYSPA ŻŁOTA

Druga część cyklu „Pirat Triplex”

Przełożył i przypisami opatrzył Janusz Pultyn

Dziewięćdziesiąta publikacja elektroniczna Wydawnictwa JAMAKASZ

Trzydziesty piąty tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału francuskiego:
L'île d'Or

© Copyright for the Polish translation by Janusz Pultyn, 2021

65 ilustracji, w tym 10 kart tablicowych kolorowych: Lucien Métivet

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak
Redakcja i korekta: Andrzej Zydorczak
Projekt okładki: Barbara Linda

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2021

ISSN 2449-9137

ISBN 978-83-66268-84-5 (całość)

ISBN 978-83-66268-86-9 (część druga)



Rozdział I Potrójne Zero

Ześć miesięcy przed ostatnimi wydarzeniami, których teatrem było Killed Town, do Port Jackson przybył angielski statek pasażerski „Botany”¹, który wysadził na nabrzeża masę pasażerów.

Wśród nich znajdował się młody człowiek o wyglądzie wskazującym na nieuleczalny smutek.

Był nim Robert Lavarède, który straciwszy nadzieję na odzyskaniem swojego nazwiska, francuskiej tożsamości, jedności jako człowieka, przez politykę anglo-egipską sprowadzony do stanu zera, uciekł od Lotii i udał się powtórnie do tej ziemi Australii, na której był kiedyś internowany pod imieniem Thanisa.

Dlaczego wybrał ten kraj, przekładając go nad wszystkie inne?

Ponieważ u żadnego człowieka, choćby najbardziej prześladowanego, choćby nieuchronnie pokonanego, kwiat nadziei nie więdnie nigdy w sercu.

¹ *Botany* (ang.) – Botanika, nawiązanie do Botany Bay, zatoki we wschodniej Australii, pierwszego miejsca tego kontynentu, do którego 29 kwietnia 1770 roku dotarł James Cook, nazwanej od bogactwa życia roślinnego; w roku 1788 założono nad nią pierwszą kolonię karną Australii, z której wyrosło Sydney; obecnie stanowi główny port handlowy tego miasta.

Robert wciąż zachował nadzieję. Przyszedł mu do głowy pomysł, na który jego kuzyn Armand miał wpaść nieco później. Przybył tam, żeby spróbować odnaleźć Niarię, żeby od tego egipskiego patrioty i fanatyka otrzymać oświadczenie, które pozwoli mu ponownie stać się sobą.

Zszedł więc ze statku w Sydney, zamknął się w pokoju hotelowym z najlepszymi mapami kontynentu australijskiego, jakie udało mu się zdobyć, i starannie zbadał topografię tej wielkiej wyspy Oceanu Spokojnego.

Był kiedyś internowany w prowincji Australia Zachodnia, niedaleko góry Youle, w majątku rolnym prowadzonym przez niejakiego sir Parkera; to stamtąd uciekł, pozostawiając Niarię w rękach jego strażnika¹. To tam powinien udać się powtórnie, żeby natrafić na ślady Egipcjanina.

Dwie trzecie obszaru Nowej Holandii² pokrywają jednak pustynie lub dżungle. Nie wiedzie przez nie żadna droga. Dlatego podróżny powinien dotrzeć do punktu wybrzeża położonego najbliżej Góry Youle, aby możliwie jak najbardziej skrócić trasę łądem.

Po dojrzałych rozważaniach Robert – lub Zero, jak nazywał siebie melancholijnie – zdecydował, że drogą morską uda się aż do Sandy-Bigth³, leżącego u ujścia rzeki Russel⁴, rzeki dziwacznej, której nurt przecinają jeziora i bagna połączone ze sobą podziemnymi kanałami, mającej źródło znajdujące się około 400 kilometrów⁵ na północ od Góry Youle.

¹ Wydarzenia te opisano we wcześniejszej książce Paula d'Ivoi, „Bolid”, drugiej części cyklu „Kuzyn Lavarède'a”, wydanej przez wydawnictwo JAMAKASZ w roku 2019.

² *Nowa Holandia* – dawna nazwa Australii, nadana jej w roku 1644 przez holenderskiego żeglarza Abela Tasmana, była używana nieoficjalnie do połowy XIX wieku.

³ *Sandy Bigth* – powinno być *Sandy Bight*, być może chodzi o Sandy Bay (Bay to po angielsku zatoka, podobnie jak Bight), małą zatokę w środkowej części zachodniego wybrzeża Australii Zachodniej, około 40 km na południe od miasta Exmouth, lecz leży ona bardzo daleko od góry Youle i nie u ujścia jakiegokolwiek rzeki.

⁴ *Russel* – nie ma takiej rzeki w Australii Zachodniej, opis pasuje najbardziej do rzeki Lort, okresowej, długości 130 km, płynącej z północy na południe, o ujściu w południowej części wybrzeża Australii Zachodniej.

⁵ *400 kilometrów* – w tej odległości od góry Youle rozciąga się Pustynia Gibsona, na której rzeki są tylko okresowe i żadna nie dopływa do oceanu.

Postanowiwszy tak, były narzeczony Lotii nie tracił czasu przy wprowadzaniu swojego planu w życie. Statek parowy odbywający regularne rejsy z Sydney do Adelaide¹ przewiózł go do tego drugiego miasta, skąd szkunerem żaglowym popłynął do zatoki Sandy. Dwudziestego dnia po przybyciu do Australii podróżnik rozbił obóz nad brzegiem rzeki Russel.

Następnego dnia z karabinem na ramieniu i torbą z żywnością na plecach zagłębił się we wnętrze łądu, maszerując prosto na północ, przekroczył linię telegraficzną założoną wzdłuż wybrzeża i wszedł w busz.

Trzeba było tak jak Robert osiągnąć szczyty zdesperowania, żeby samotnie wyprawić się na australijskie pustkowie. Nic nie jest bardziej posępne, bardziej przygnębiające, aniżeli te ogromne przestrzenie, na których z powodu skąpego występowania wody przez większą część roku roślinność ogranicza się do kilku gatunków eukaliptusów i roślin ciemistych, gdzie rzadko pojawia się zwierzyzna łowna, gdzie wędrują plemiona nędznych i okrutnych tubylców, uciekających przed spotkaniami z białymi ludźmi.

Owe dzikie istoty, których żalosnym przeznaczeniem jest, podobnie jak i czerwonoskórych Indian w Ameryce Północnej, ciągle wycofywanie się przed najeźdźcą, aż do nieszczęsnej chwili, w której ostatni jaki przetrwał z tej rasy umrze w zlekceważonej kryjówce; owi dzicy nie mają ani odrobiny litości dla samotnego podróżnika. Wydaje się, że na widok znieawidzonego Europejczyka popadają w szaleństwo i przez kilka chwil próbują wyrzucić pomstę za lata prześladowań i nieszczęść.

Czy Francuz wiedział o tym wszystkim? Być może. Czy było tak jednak, czy nie, szedł równym krokiem, pełnymi płucami wdychając ciepłe powietrze.

– Jakże to dziwne! – wyszeptał nagle. – Natura obdarzyła mnie charakterem osiadłym. Myśl o przeprowadzce była dla mnie nieznośna.

¹ *Adelaide* – miasto pld.-wsch. Australii, stolica stanu Australia Południowa, port nad Zatoką Św. Wincentego, założone w roku 1836, jako miejsce osiedlania wolnych przybyszy, a nie skazańców; obecnie piąte pod względem liczny ludności miasto Australii: 1,435 miliona mieszkańców.

Tymczasem okoliczności, te ironiczne sługi przeznaczenia, czynią z mojego życia niekończącą się podróż.

Potem westchnął i dodał:

– Czy takie jest zatem przeznaczenie każdego Lavarède’a? Czy zostaliśmy wybrani na konkurentów słynnego Żyda Wiecznego Tułacza¹? Do diabła! Niemal w to wierzę. Samo podróżowanie, do licha, już mi nie przeszkadza, jedynie podróżowanie równie mało owocne. Mój kuzyn², dokonawszy okrążenie świata, zyskał czarującą kobietę i bogactwo; ja natomiast straciłem nazwisko mojego ojca, moją ojczyznę, moją narzeczoną. On wykorzystał wszystkie szanse, na mnie spadły wszystkie nieszczęścia! Kiedy tylko pomyślę, że głupiec o imieniu Azaïs³, którego próżniacy uważali za filozofa, nazwał to teorią wyrównywania! Ona jest absurdalna! Jeden jest zdrowy, drugi ciągle chory – wyrównywanie! Ten jest bogaty, tamten biedny; wyrównywanie! Ktoś jest szczęśliwy, śmieje się bez ustanku, jego sąsiad spędza życia na płaczu; wyrównywanie...! Och! Filozofujący żebrak! Śmieszny Azaïs! Chciałbym postawić cię tutaj, bez broni, wysłać ci kulę, której nie mógłbyś mi odesłać i powiedzieć: wyrównywanie!

Aby wyjaśnić zły nastrój Roberta, należy powiedzieć, że droga była niezmiernie trudna. „Droga” nie jest tu właściwym słowem, ponieważ nie istniała żadna wytyczona ścieżka, a podróżnik, aby posuwać się w kierunku północnym, nie dysponuje innym sposobem, aniżeli częste sprawdzanie małego kompasu przymocowanego do butonierki.

Wszędzie dookoła tereny niskie i podmokłe, na których wznosiły się pagórki porośnięte nieprzebytymi ciernistymi krzewami,

¹ *Żyd Wieczny Tułacz* – postać ze średniowiecznej legendy, znanej w całej Europie; wedle podania Żyd Ahaswerus znieważył niosącego krzyż na Golgotę Chrystusa, za co miał się tułać po świecie do końca świata, nigdzie nie znajdując schronienia; we Francji postać tę spopularyzowała książka *Żyd wieczny tułacz* Eugène’a Sue.

² *Kuzyn* – Armand Lavarède, ową podróż opisano w pierwszym cyklu Paula d’Ivoi, *Pięć groszy Lavarède’a*, którego trzy tomy wydawnictwo JAMAKASZ wydało w roku 2018.

³ Pierre Hyacinthe *Azaïs* (1766-1845) – francuski filozof, zwolennik Napoleona, podczas Restauracji publicysta i pisarz, głosił teorię równowagi obowiązującej w filozofii i świecie przyrody, powszechnej harmonii wynikającej z działania dwóch głównych sił, ekspansji i kompresji; nie był żebrakiem.

o wyciągających się grożąco kolczastych gałęziach, chcących jakby drapać przechodzącego obok.

Bardziej jeszcze posępna niż krajobraz była cisza. Żadnych ptasich śpiewów, żadnych trzepotów przestraszonych skrzydeł; żadnej ucieczki na oślep w zarośla. Jedynie w rzadkich odstępach czasu gigantyczna żaba australijska¹ ogłaszała swoją obecność długim wrzaskiem, podobnym do ryku byka.

Zmuszony do nieustannego nadrabiania drogi, aby omijać przeszkody, narzeczony Lotii pokonywał niewielką odległość.

Do południa przeszedł dwadzieścia kilometrów, żeby na północ przesunąć się o tylko pięć lub sześć.

Usiadł wówczas na ziemnym kopcu i zdjąwszy torbę, wyjął trochę żywności.

Jadł bez przyjemności, z owym instynktownym pośpiechem, który powtarza się przy wszystkich posiłkach spożywanych w samotności.

– Mam dokładnie trzysta siedemdziesiąt sześć kilometrów do pokonania – mruknął, zapinając ponownie torbę. – Jeśli będę dalej szedł w tym tempie, zajmie mi to ponad miesiąc. Chodźmy, Robercie, chodźmy, mój dzielny Zero, odwagi, żeby ponownie zostać obywatelam Francji. Naprzód!

I ruszył dalej.

W miarę oddalania się od brzegu, grunt podnosił się niedostrzeżalnie. Po gęstych zaroślach następowały rzadsze krzewy. Eukaliptus², która to rodzina obejmuje co najmniej trzystu gatunków, pojawiał się ze swoimi smukłymi łodygami, z gałęziami posiadającymi liście wystawiające krawędzie do światła; dziwne drzewa z dziwnego kontynentu, które zmęczonemu podróżnikowi odmawiają cienia.

¹ *Gigantyczna żaba australijska* (*Nyctimystes infrafrenatus*) – rzekotka nowogwinejska, płaz bezogonowy z rodziny *Pelodriadydae*, największa żaba drzewna świata, osiąga 14 cm długości, o jasnozielonym wierzchu ciała i białawym brzuchu, wydaje donośne krzyki, występuje jednak w Queenslandzie, a nie w Australii południowej i zachodniej.

² *Eukaliptus* (*Eucalyptus*) – rodzaj z rodziny mirtowatych, obecnie zalicza się do niego ponad 600 gatunków, rosnących w Australii, na Nowej Gwinei i we wschodniej Indonezji; wiecznie zielone drzewa i krzewy, rzeczywiście ustawiają liście brzegiem do słońca.

Pod wieczór Robert zatrzymał się pośrodku kępy różowych akacji¹. Nic nie zakłóciło jego snu. O świcie ruszył dalej. Potwarzało się to przez osiem dni. W miarę trwania wędrowki Robert zapominał o złym humorze odczuwanym przy wyruszaniu. Prześladowały go inne obawy. Chociaż celem wyprawy był majątek rolny sir Parkera, jego dawnego nadzorcy, to równocześnie stanowił on zagrożenie.



Niewątpliwie ten dżentelmen-rolnik, gdyby tylko podejrzewał obecność swojego byłego więźnia, chciałby go jak najszybciej aresztować, a wtedy Lavarède bardziej niż przedtem trafiłby pod jarzmo polityki angielskiej. Zostałby ponownie Thanisem, poddanym egipskim, a od tego wołał już unicestwienie swojego „ja”. Zero, niech będzie, ale nigdy Thanis.

Niezbędne więc było posłużenie się podstępem, przeszukanie posiadłości w sposób niezauważony, upewnienie się tak, że Niari nadal tam przebywa. A jeśli patriota znad Nilu opuścił farmę, należało się koniecznie dowiedzieć, do jakiego punktu globu się udał.

Wszystko to było bardzo trudne do wykonania, ponieważ liczni ludzie Parkera nie omieszkaliby powiadomić swojego pana o każdym jego kroku.

Kiedy pieszy łamał sobie głowę, jak uniknąć niebezpieczeństwa, które nadal było odległe, zagroziło mu inne, dużo bliższe.

Nastąpiło to dziesiątego dnia od zejścia Roberta na ląd przy ujściu rzeki Russel. Wyruszywszy w drogę wczesnym rankiem kroczył

¹ *Akacje (Acacia)* – rodzaj z rodziny bobowatych, w Australii rośnie około 30 gatunków drzew i krzewów z tego rodzaju, ale ich kwiaty mają kolor żółty, a nie różowy; angielską nazwą *rosewood* (różowe drewno) określa się w Australii trzy gatunki (*Acacia excelsa*, *Acacia rhodoxylon*, *Acacia spania*), rosnące jednak we wschodniej części tego kontynentu.

beztrosko po lesie akacjowym. Pod drzewami rosło mało krzaków, a pod jego stopami zgrzytała krótka i twarda trawa. Marsz był więc łatwy i Francuz obliczył, że jeśli grunt będzie nadal równie dogodny do chodzenia, do wieczora przemieści się około czterdzieści kilometrów na północ.

Wielce ucieszony z takiej konstatacji, gwizdał, wydłużając krok, kiedy jego muzyczne fantazje przerwał nagle niespotykany dźwięk.

Z daleka jeszcze dochodziło niewyraźne brzęczenie, którego przyczyna była mu nieznana. Instynktownie wślizgnął się za drzewo, wokół którego splatały się *figarevas*¹ o liściach barwy morskiej zieleni i żółtych kwiatach, tworzące pachnące krzewy, i czekał z karabinem w dłoni.

Zgiełk z każdą minutą narastał. Robert wychwytywał krzyki, odgłosy uderzeń.

– Do diabła! Do diabła! – szeptał. – Tubylcy. Złe spotkanie!

Następnie dodał z pewną ciekawością:

– Ale czym się tutaj zajmują?

Rzeczywiście, jakby tworząc coś w rodzaju akompaniamentu dla wrzawy, pod koronami drzew echem odbijały się głośnie tupnięcia stóp o ziemię.

Nagle, pięćdziesiąt metrów od podróżnika, przenikając zasłone zarośli, pojawiło się stado kangurów.

Zwierzęta były przerażone. Bez zatrzymywania się pędziły prosto przed siebie, wykonując ogromne skoki. To uderzenia ich tylnych kończyn o ziemię usłyszał dopiero co narzeczony Lotii.

Strzała, która wbiła się w pień drzewa, za którym krył się Robert, wskazała mu przyczynę przerażenia kangurów. To tubylcy polowali na nie.

Wstał, aby drzewo znalazło się między nim a łucznikami, ale w tym momencie niezwykle mocne zderzenie powaliło go na ziemię; upuścił karabin, a kangur, który pędzony strachem wpadł na niego, uciekł z przenikliwymi krzykami.

¹ *Figarevas* – zapewne dawna nazwa jednego z licznych gatunków rodzaju figowiec (*Ficus*) rosnących w Australii; opis pasuje do gatunków *Ficus coronulata*, *Ficus hispida*, *Ficus carica*, *Ficus platypoda*, krzewów i małych drzew, występujących głównie na terenach wilgotnych w pobliżu wybrzeży morskich i rzek.

Ukryty pod łodygami *figarevas* podróżnik widział mijające go skaczące cienie. Tubylcy prowadzili pościg dalej. Wkrótce zwierzęta i ludzie zniknęli między drzewami; odgłosy polowania cichły, oddalały się coraz bardziej.

Wówczas Robert wstał. Macał siebie z niepokojem. Doznał tak mocnego uderzenia, że zdumiał się nie stwierdziwszy żadnych poważnych obrażeń. Lekkie stłuczenia, zapewne nieznaczące osłabienie były jedynymi skutkami wypadku.

– Dobrze! – rzucił wesoło. – Wywinałem się tanim kosztem.

Było to przedwczesne zadowolenie, jak szybko się o tym przekonał.

Uspokojony stanem swoich członków Robert rozejrzał się w poszukiwaniu karabinu i torby z żywnością, które wypadły mu w chwili upadku. Znalazł je wkrótce w zaroślach, ale w jakim stanie!

Torba została zerwana, podeptane zapasy żywności nie nadawały się do jedzenia; jeśli zaś chodziło o broń, to lufa była wygięta i karabin można było odtąd używać tylko jako maczugi.

Katastrofa była nieodwracalna. Zagubiony pośród australijskich pustkowi bez możliwości bronienia siebie, odnawiania żywności, Francuz wydawał się skazany na niechybną śmierć.

Przez ponad godzinę nieszczęśnik pozostawał jakby przygnieciony tym bolesnym spostrzeżeniem. Wziął machinalnie strzelbę, jej zakrzywioną lufę oglądał z głupią nadzieją, że odkryje sposób umożliwiający mu uczynienie uszkodzeń mniejszymi.

Jego położenie było krytyczne. Dwanaście dni marszu od wybrzeża; w podobnej odległości od farmy Mont Youle, bez jedzenia i bez broni, co podróżnik powinien uczynić?

W środku swego utrapienia wpadł na pewien pomysł. Posiadłość Parkera nie była jedyną w tej krainie. Robert mógłby natrafić na inne zamieszkane gospodarstwo i gdyby zdołał dotrzeć do jakiejś farmy, to kto wie, czy nie zdobyłby tam karabin i amunicję.

Zresztą poza tym rozwiązaniem było tylko jedno inne: śmierć z głodu w jakimś zakątku lasu. Dlatego też, ostrożnie zebrawszy resztki swoich zapasów żywności, z których sporządził skromny posiłek, młody człowiek wznowił marsz.

Kiedy jednak po przejściu kilometra chciał sprawdzić kompas, z jego ust wyrwał krzyk, bolesny jęk. Szkoło chroniące tarczę zostało rozbite, a odłączona od swego trzpienia igła magnetyczna zniknęła!

Z pewnością zły los uwziął się na Roberta. Odmówiono mu nawet możliwości ustalania kierunku.

Nie tracił wszakże jeszcze ducha. Mokradła, które wskazują na nurt rzeki Russel, tworzą różaniec stawów ciągnących się wyraźnie z południa na północ. Okrążając ich brzegi, narzeczony Lotii będzie dalej zbliżał się do celu swojej podróży.

Niestety! Musiał wkrótce uznać, że ten pomysł, dobry w teorii, w praktyce był dużo gorszy do zrealizowania. Mokradła, często bardzo wielkie, oddzielone były rozległymi przestrzeniami, pod którymi podziemnymi kanałami płynęła niewidzialna rzeka. Ten układ spowodował, że idąc wzdłuż jednego ze stawów, którego brzeg wyginał się nieustannie falistą linią, Francuz okrążył go całkowicie i zrozumiał swój błąd dopiero wówczas, gdy po trwającym kilku godzin męczącym marszu znalazł się dokładnie w miejscu, z którego wyruszył.

Tym razem nie została mu ani odrobina odwagi. Po co walczyć, skoro czuje się, że wysiłki będą daremne? Tak samo jak pokonany gladiator kładący się na piaskach areny, aby otrzymać śmiertelny cios, Robert wyciągnął się u stóp drzewa.

Dzień mijał, słońce chyliło się za horyzont w szkarłatnej apoteozie, która plamiła krwią wody mokradeł i stawów.

Podróżnik ze smutkiem zjadł resztki jedzenia. Te resztki pobrudzone ziemią, zmiażdżone pod stopą kangura nie zadowolili jego podniebienia, ale zaspokoili potrzeby żołądka. Dało mu to lepsze rozumowanie.

– Śpijmy – powiedział. – Za dnia będę miał umysł lepiej działający i może wpadnę na rozsądny pomysł.

Zrobił tak, jak powiedział. Zamknął oczy i pomimo zmartwień szybko zapadł w ciężki sen, bardzo potrzebny jego zmęczonemu ciału.

Obudził się rano. Tak jak przypuszczał, jego myśli, rozjaśnione przez wypoczynek, pozwoliły mu bardziej wyraźnie rozważać położenie.

Natychmiast przyszło mu do głowy genialne spostrzeżenie.

– Linia stawów Russel wskazuje mi kierunek na północ. Potrzebuję iść równoległe do tej linii, a nie wzdłuż brzegów. Od czasu do czasu będę się wspinał na wzgórze, a w razie potrzeby na drzewo, aby znaleźć się nad równiną i nabierać pewności, że nie zbaczam z drogi.

Następnie pocieszony tymi słowami mówił dalej:

– W ten sposób będę pewny drogi. Pozostaje wyżywienie. Zwierzyna łowna jest mi teraz zakazana, gdyż nie mogę posługiwać się karabinem, muszę więc o jedzenie poprosić królestwo roślin. W tym bardzo mocno nawodnionym kraju jest wykluczone, abym nie znalazł jakiejś jadalnej rośliny.

Następnie, wprowadzając w życie to, co właśnie zapowiedział, Robert wdrapał się na wierzchołek *red cedar*¹, którego niskie gałęzie ułatwiały wspinaczkę, a ze szczytu tego naturalnego obserwatorium ustalił kilka punktów odniesienia wyznaczających dalszy marsz.

Potem zszedł na powierzchnię ziemi i radośnie ruszył znowu, przyglądając się uważnie wszelkim krzewom, drzewom i krzakom, które napotkał. Francuz szukał czegoś na śniadanie.

Zostało zapisane, że tego dnia wszystko będzie szło po jego myśli. Dotarł do pola *nardou*², rodzaju dzikiej fasoli z bagien, której nasiona uznał za bardzo smaczne. Rozważnie uwzględniając przeciwności losu, zabrał ich duży zapas. Nappełnił nimi swoją torbę, jako tako naprawioną, swoje kieszenie, ile tylko się zmieściło, i zabezpieczony teraz przed głodem, Robert wydłużył krok.

Godzina po godzinie wspinał się a to na wzgórze, a to na drzewo górujące nad okolicą, aby upewniać się, że nie zbaczał ze szlaku. Powodowało to jednak, że posuwał się powoli i około godziny czwartej całkowicie wyczerpany musiał się zatrzymać.

¹ *Red Cedar* (ang.) – czerwony cedr; prawdziwe cedry nie rosną w Australii, nazywa się tam tak drzewo liściaste z rodziny meliowatych (*Toona ciliata*), duże (do 60 m wysokości), cenione ze względu na czerwone i łatwe w obróbce drewno, gatunek dlatego niemal wytępiony; nie rośnie w Australii Zachodniej, ale w dżunglach Nowej Południowej Walii i Queenslandu.

² *Nardou* – po angielsku *nardoo*, używana w Australii nazwa gatunku (*Marsilea drummondii*) paproci wodnej, o liściach unoszących się na wodach mokradeł; jej twarde sporokarpy (zarodniki) są spożywane przez Aborygenów po upieczeniu i zmieleniu w proszek, mieszany w wodą w postaci ciasta, w dużych ilościach są trujące z powodu dużej zawartości tiaminazy; występuje w całej Australii na terenach wilgotnych.

Fasole *nardou*, choć pożywne, nie dorównują jednak udźcowi dzicyzny, kiedy chodzi o podtrzymywanie sił męczyzny zmuszonego do dużego wysiłku fizycznego. Pomimo tego odsuwały od podróżnika lęk przed śmiercią z głodu – wspólny los tak wielu odkrywców australijskiego buszu – i Robert z wielką ulgą położywszy się na ziemi, pochłonał ich kilka garści.

Wspomagany zmęczeniem, pozwolił na ogarnięcie go przez łagodną senność, kiedy z odrętwienia wyrwał go trzask suchych gałęzi.

Hałas ten dobiegł z niewielkiej odległości, z gęstych zarośli rosnących na brzegach stojącej wody, niby szmaragdowym płaszczem przykrytej szerokimi liśćmi roślin wodnych.

Znajdowała się tam jakaś istota, człowiek lub zwierzę.

Robert instynktownie chwycił za lufę swój karabin i czekał.

Upłynęło kilka chwil bez ponownego zakłócenia ciszy; lecz żywa istota, która bez wątpienia śledziła Francuza, straciła cierpliwość. Krzewy zakołysały się pod gwałtownym pchnięciem; odsunęła się zielona zasłona i pojawił się tubylec z włosami spletanymi wokół brzydkiej twarzy.

Robert jednym skokiem zerwał się na równe nogi, ale przybyły właśnie wydawał się nie mieć wobec niego żadnych wrogich zamiarów.

Spokojnym ruchem zarzucił karabin na ramię i złożył ręce na pierś, wykonując gest powitania zgodny ze zwyczajem swego kraju. Następnie poszedł powoli na spotkanie z kuzynem Lavarède'a.

Tamten patrzył, jak tubylec się zbliża, nie wiedząc, czy nieznanego ma traktować jak przyjaciela, czy jak wroga.

Wkrótce nabrał pewności.

Kiedy znalazł się dziesięć kroków od niego, Australijczyk zatrzymał się i gardłowym głosem powiedział w doskonałym języku angielskim:

– Mora-Mora, wódz Faho-Bougów¹, wita białego człowieka zagubionego w buszu.

A ponieważ Francuz nie odpowiedział, mówił dalej:

– Od świtu podążam tropem białego. Gdybym miał złe zamiary, łatwo byłoby mi trafić go kulą. Mora-Mora ma celne oko i pewną rękę.

¹ *Faho-Bougowie* – plemienia Aborygenów o tej nazwie nie ma na ich listach.

Nie groziło mu niebezpieczeństwo, ponieważ karabin podróżnika jest zepsuty; ale jest on przyjacielem, który śledził ruchy białego człowieka.

– Przyjacielem? – wąpiącym tonem szepnął Robert. – Dlaczego moim przyjacielem miałyby być ten, który mnie nie zna.

Tubylec otworzył w uśmiechu szerokie usta:

– Mora-Mora jest przyjacielem białych. Jest ich przewodnikiem i właśnie teraz prowadzi na wybrzeże dwóch mężczyzn, którzy podobnie jak ty mają błądy kolor nocnej gwiazdy.

– Europejczycy! – zawołał Francuz, robiąc krok do przodu. – Czy ci Europejczycy są niedaleko?

– Tak. Powiadomiłem ich o twojej obecności, jak i o śladach, które wskazały mi, że w buszu jesteś zabłąkany, bez broni, i zlecili mi zabranie cię do nich.

Po tych słowach jego rozmówca zapomniał o wszelkiej nieufności. Podbiegł do Australijczyka, i z łatwo zrozumiałą radością uściśnął mu rękę, mówiąc:

– Jestem zmęczony, ale odnajdę siły, żeby wam towarzyszyć. Czy daleko są ci, którzy wysłali was po mnie?

Mora-Mora wskazał palcem punkt na równinie. Robert spojrział w tym kierunku, ale niczego nie zobaczył. Natychmiast się przyznał:

– Nie widzę tych, o których mówisz.

Tubylec ponownie zaśmiał się cicho:

– Ich nie, to niemożliwe. Biali są mniejsi niż drzewa. Nie można ich zobaczyć.

– Co mi więc pokazaliście?

– Dym z obozu.

– Och! Pojmuję, dym z ogniska, które rozpalili.

Pomimo jednak tych wskazówek Robert, choć wyteżał wzrok, ale nie dostrzegł niczego, co przypominałoby mu dym. Odwrócił się do przewodnika. Ten pokręcił głową.

– Oczy białych potrafią czytać w książkach, ale w obliczu przyrody są mniej dobre niż oczy Australijczyków. Pokieruję cię jednak. Popatrz na ten czerwony cedr, którego wierzchołek przewyższa wszystkie inne...



– Mora-Mora, wódz Faho-Bougów, wita białego człowieka zagubionego w buszu.

– Widzę go.

– Dobrze! Teraz przesun swoje oczy w prawo. Niczego nie dostrzegasz?

Skupiając uważnie wzrok, Robert wychwycił cienką smugę dymu unoszącą się nad drzewami. Była niby lekka mgiełka, ledwo dostrzegalna, i młody człowiek musiał przyznać, że pozostawiony sam sobie, nie zdołałby jej rozpoznać.

– Australijskie ognisko – z nutą dumy powiedział Mora-Mora. – Dym z suchego drewna, bez mokrych gałęzi.

– Tak, tak, rozumiem. Chcesz powiedzieć, że człowiek taki jak ja zbierałby drewno bez wybierania, a para wodna uczyniłaby dym gęstszym...

– I bardziej niebezpiecznym.

– Niebezpiecznym?

– Tak, zdradziłby białego; wezwałby dzikich tubylców spragnionych zemsty. Natomiast ognisko takie jak moje sprawiłoby, że uśmiechnęliby się. Powiedzieliby: ognisko czarnego człowieka, nie ma czym się niepokoić.

Następnie, zmieniając ton, Mora-Mora mówił dalej:

– Czy zagubiony podróżnik jest gotów wyruszyć w drogę? Trzeba do obozu dotrzeć przed zmrokiem.

– Idźcie przodem, a ja podążę za wami.

Australijczyk skłonił się i elastycznym krokiem poprzedał swojego towarzysza. Ten szedł za nim, przyglądając się mocnym kształtom swojego przewodnika. Mora-Mora niewątpliwie musiał wśród swoich towarzyszy cieszyć się szacunkiem całkowicie uzasadnionym jego atletycznymi mięśniami.

W tym czasie zapuścili się do wąskiej doliny, która w czasach wezbrań musiała się przekształcać w jezioro. Przez prawie pół godziny obaj mężczyźni stąpali po gąbczastej ziemi, w jakiej zanurzały się ich nogi, powodując wytryski wody, którą była nasycona. Dalej ziemia unosiła się łagodnym stokiem, stała się kamienista. Krzewy zniknęły, drzewa rosły rzadziej, pozwalając dostrzec nagi płaskowyż, nad którym górowały ruiny opuszczonego gospodarstwa.

Mora-Mora wskazał na rozpadające się ściany:

– Są tam. Dawna farma. Dobre schronienie, w razie napaści łatwe do obrony.

Skierowali się w stronę wyłomu wybitego pośród kamieni. Wdrapawszy się na chwiejące się gruzy, tubylec i Europejczyk dostali do miejsca otoczonego porzuconymi zabudowaniami gospodarczymi.



Przed nimi rozciągało się duże podwórko. W głębi, pod szopą z trzęsącym się dachem, dwie postacie przykucnęły przy jasnym ogniu, którego płomień lizał kilka gołębi przebitych prętem.

Chociaż nie był wielkim smakoszem, Robert nie zdołał powstrzymać się przed spojrzeniem z rozczuleniem na te przygotowania do posiłku.

Jego przewodnik wydał jednak cichy gwizd. Nieznajomi odwrócili głowy, rozpoznali swojego tubylczego towarzysza i natychmiast wstawszy, wyszli na spotkanie Francuza.

Ten przyjrzał się im szczegółowo. Obaj biali byli młodzi. Jeden z nich, blondyn, wyróżniający się dobrą postawą, choć był obdarzony lekkim garbem, mógł mieć od trzydziestu do trzydziestu pięciu lat. Natomiast drugim był zgrabnym nastolatkiem, który z pewnością nie widział jeszcze swojej szesnastej wiosny.

Każdy z nich skłonił się ze swobodą dowodzącą, że owi bywalcy zarośli potrafiliby znaleźć się w salonie, po czym głos zabrał starszy z nich:

– Witamy szanownego pana; mam nadzieję, że zgodzi się pan zjeść z nami obiad?

Owe słowa na środku pustyni zabrzmiały tak osobliwie, że Francuz stał z otwartymi ustami, nie znajdując żadnej odpowiedzi.

Szybko się jednak otrząsnął i odpowiedział tym samym tonem:

– Po tysiąckroć dziękuję serdecznie. Jestem ogromnie wdzięczny za życzliwość, jaką panowie okazują nieznanemu.

– Nieznanemu! – żywo przerwał mu rozmówca. – Ani trochę nie nieznanemu. Podróżnik błąkający się po tych pustkowiach jest

z pewnością nieszczęśliwy. My sami jesteśmy cierpiący, a z wspólnego bólu rodzi się rodzaj braterstwa.

Głos garbusa stał się bardziej miękki, niemal czuły, kiedy wygadał te ostatnie słowa.

Robert uklonił się nie bez zaskoczenia, bo dzicy *bushmeni*¹, przemierzający australijskie równiny, nie mieli w zwyczaju objawiać podobnej uczuciowości.

– A zatem – ciągnął jasnowłosy podróżnik – proszę usiąść obok nas. Proszę jeść, odpoczywać. Bez dziękowania: są tu bracia goszczący swojego brata.

– Zgoda, nie wyrażę mojej wdzięczności, ale niech będzie mi wolno wyrazić zdziwienie, że spotkałem się z tak ogromną uprzejmością... nie owijajmy niczego w bawełnę, miłosierdziem ze strony osób, dla których jestem całkowicie nieznanym.

– Nieznany, niech pan tak nie sądzi. Wiedzieliśmy, obserwując pana, że się pan zgubił, że nie ma broni, jedzenia; że zmierza na północ w jakiejś ważnej sprawie, w przeciwnym razie nie zajmowałby się męczącym wspinaniem się na najwyższe drzewa, aby rozpoznawać swój szlak. Sądząc po pańskim akcencie domyślam się, że jest pan Francuzem, a po pańskich manierach, że mówię do dżentelmena...

Ponieważ Robert, oszołomiony tą szybką analizą, której stał się przedmiotem, wykonał gest potwierdzenia, osobliwa postać zakończyła z uśmiechem:

– W tym rysopisie brakuje tylko jednej rzeczy; ale w buszu nie jest ona niezbędna.

– A tą rzeczą jest...?

– Tym, o co nie pytam, jest pańskie nazwisko.

Tym razem Francuz roześmiał się szczerze i z nagłą pewnością siebie powiedział:

– Na to pytanie nie mogę udzielić odpowiedzi.

– Nie nalegam.

– Lecz pragnę się wytłumaczyć. Nie mam nazwiska.

¹ *Bushmen* (ang.) – dosł. „ludzie zarośli, mieszkańcy buszu”, stosowana w języku angielskim nazwa rdzennych mieszkańców Australii i Nowej Zelandii; tu w znaczeniu białych żyjących na dzikich przestrzeniach.

– Czyżby? – szepnęli rozmówcy Roberta, wymieniając spojrzenia. Młody człowiek błędnie odczytał znaczenie tego zachowania i dodał prędko:

– To znaczy straciłem nazwisko, do którego byłem przyzwyczajony i zaproponowano mi inne, na noszenie którego nie mogłem się zgodzić. Nie zdołają panowie zrozumieć...

Tymczasem garbus pokręcił głową:

– Proszę pana o wybaczenie; rozumiem to bardzo dobrze, bo mnie także pozbawiono mojego nazwiska.

– Jak i mnie – dodał nastolatek, który do tej pory zachowywał milczenie.

Taki zbieg okoliczności był naprawdę ciekawy i Robert mógł wykrzyknąć tak samo słusznie, co i gramatycznie:

– Lecz w takim razie imię własne, które przyjąłem, staje się rzeczownikiem pospolitym.

– Co chce pan przez to powiedzieć...?

– Że na określenie siebie wybrałem melancholijne słowo: Zero. Przypadek sprawił, że na środku pustyni znalazłem się twarzą w twarz z dwoma innymi Zerami.

Jego rozmówcy wybuchnęli śmiechem.

– Aczkolwiek – zauważył starszy z nieznamomych – nie chce pan chyba powiedzieć, że przyjmując jako swoją etykietkę znak arytmetyczny zero, chciał wskazać, że jest bez wartości.

Kręcąc ze smutkiem głową, Francuz szepnął:

– Nie chcę... lecz mój karabin jest połamany, nie jestem za wiele wart.

– Czy tylko o to chodzi? – zapytał serdecznie nieznamomy. – Mamy dodatkową strzelbę, jest do pańskiej dyspozycji.

Ponieważ młody człowiek, wzruszony tą hojnością, większą w dzikim kraju niż darowizna fortuny w kraju cywilizowanym, drżącym głosem wyjąkał mało zrozumiałe podziękowanie:

– Nie mówmy o tym więcej. Strzelba to jedynka, która zeru nadaje wartość, aby kontynuować pański matematyczny żart. A teraz, jeśli wolno mi mówić poważnie, to moim zdaniem z naszego spotkania musi się narodzić coś korzystnego dla wszystkich. Konieczne jest wszakże abyśmy nawzajem sobie ufali. U mnie już tak się stało.

Nie mam w tym żadnej mojej zasługi, ponieważ jestem jednym z trzech uzbrojonych ludzi przeciwko bezbronnemu człowiekowi i to do mnie należy złożenie tego zapewnienia – po krótkiej przerwie dodał dziwny goniec zaroślowy¹ z uśmiechem.

Gestem przywołał do siebie Mora-Morę i cicho wyszeptał mu kilka słów. Tubylec natychmiast pobiegł do szopy i wrócił niosąc wspinały karabin produkcji angielskiej, który podał Robertowi.

– Teraz – mówił dalej nieznajomy – już czuje się pan swobodniej; pańskie oczy błyszczą, ciało się prostuje. Pańska postawa wskazuje na człowieka odważnego; pańska twarz na dobrego, jestem zachwycony. Czy czuje się pan teraz bezpieczny?

W odpowiedzi Francuz zarzucił broń na ramię.

– Oto wymowny gest, za który jestem panu wielce zobowiązany. Ale nasza pieczeń wydaje się być całkowicie gotowa, zjedzmy obiad i porozmawiamy podczas nasycania żołądków.

Chwilę później Robert i jego nowi przyjaciele, siedząc przy ognisku, degustowali wyborne gołębie², których mięso przypominało bażanty z Wogezów³.

Kielichy pełne pachnącej herbaty ugasiły pragnienie jedzących.

– Daję słowo – zauważył wprawiony w dobry humor narzeczony Lotii – to dość nadzwyczajna *zwyczajność* pośród takich pustkowi.

Ta gra słów⁴ rozweseliła gospodarzy, a garbus odpowiedział:

– Byłoby lekkomyślnością pozbawianie się tego, co można mieć. Taką mam doktrynę dotyczącą ciała..., a także umysłu, na co może panu wskazać pewne pytanie. Odpowiem panu na nie tylko wówczas, gdy nie uzna go pan za niedyskretne.

¹ *Goniec zaroślowy* – po francusku *coureur de buissons*, nawiązanie do *coureur des bois*, gońców leśnych, jak we francuskich posiadłościach w Ameryce Północnej nazywano działających na własną rękę myśliwych i traperów, zajmujących się pozyskiwaniem cennych futer i handlem z Indianami.

² *Gołębie* – w Australii występuje kilka gatunków Australii, w zachodniej np. *Phaps chalcoptera*, *Phaps histrionica*, *Geopelia cuneata*, *Geophaps plumifera*.

³ *Wogezy* – pasmo górskie we wschodniej Francji, długości 160 km, biegnie południkowo wzdłuż Renu, najwyższy szczyt Grand Ballon ma 1424 m wysokości, bardzo zalesione, słynie z terenów myśliwskich.

⁴ *Gra słów* – Robert użył tu słów *extraordinaire* (nadzwyczajny, niezwykły) i *ordinaire* (zwykły, banalny, ale także potrawa, zwłaszcza występująca zazwyczaj w posiłku).

Następnie powoli zapytał:

– Czy może mi pan powiedzieć, czego szuka na tej pustyni?

Francuz niemalże czekał na to pytanie, gdyż bez wahania wykrzyknął:

– Bardzo chętnie.

– Słucham pana.

– Szukam nazwiska, które utraciłem.

Na te słowa rozmówcy młodego mężczyzny przestali jeść. Na ich rysach odmalowało się ogromne zaskoczenie. Robert je zauważył i zapytał:

– Dziwi to panów?

– Tak – pospiesznie odpowiedział garbus – ale nasze zdumienie wynika z wielkiego podobieństwa pańskiego położenia do naszego.

– Co, panowie również poszukujecie...?

– Najprościej w świecie naszych nazwisk.

Niezwykłość tego spotkania trojga ludzi narastała z każdą chwilą, ale Robert nie dotarł jeszcze do jej szczytu.

– Powrócę do wypytywania – zapowiedział uprzejmie jasnowłosego pionier. – Czy zna pan nazwisko, w poszukiwaniu którego się pan wybrał?

– Doskonale, nosiłem je dostatecznie długo, żeby nigdy go nie zapomnieć.

– A brzmi ono...

Przed odpowiedzią Francuz zastanawiał się przez minutę. Czy nie postąpi lekkomyślnie powierzając swój sekret tym towarzyszom, na pewno bardzo miłym, ale o których nic nie wiedział? Przekonały go uczciwe rysy twarzy słuchaczy.

– Powierzę panom tajemnicę mojego życia, być może moje przyszłe szczęście; jak panowie widzicie, ja też mam do nich zaufanie.

A kiedy garbus się uklonił, mówił dalej:

– Tym imieniem i nazwiskiem, noszonym przez francuskiego żołnierza, który został teraz wykreślony z rejestru rezerw armii; imieniem i nazwiskiem, które chciałbym przekazać mojej cudownej narzeczonej, jest Robert Lavarède.

– Lavarède? – powtórzyły te dwie osoby.

– Co? Czy panowie już je słyszeli?

– Tak.

– Panowie? Gdzież to? Kiedy? Jak?

Stojący i gestykujący Francuz sywał tymi niecierpliwymi pytaniami.

– No, no, odrobinę spokoju – poradził garbus. – Powiem panu wszystko, ale przedtem jeszcze kilka słów.

– Zgoda.

– Został pan wmieszany w konspirację egipską pod rzekomym imieniem Thanisa.

– To prawda, ale skąd się pan o tym dowiedział...?

– Odrobinę cierpliwości. Narzeczoną, o której wspomniał pan przed chwilą, jest miss Lotia Hador?

– Tak, to ona.

– A pan był więźniem farmera z Góry Youle, sir Parkera?

– Właśnie tak.

– W takim razie znam pana dobrze i domyślam się, że celem pańskiej wyprawy jest Góra Youle, gdzie chce się pan spotkać z niejakim Niarem, który zna doskonale wszystkie pańskie przygody?

– Dobrze pan powiedział.

– No właśnie! Miałem rację, nasze spotkanie przyniosło już pierwszy rezultat. Uniknie pan odbycia niepotrzebnej drogi.

– Niepotrzebnej drogi? – powtórzył oszołomiony Robert.

– Tak, Niarięgo nie ma już w okolicy Góry Youle.

– Odszedł!

Taki był krzyk rozpaczony, który wyrwał się z ust narzeczonego Lotii.

– Proszę się tak nie denerwować – mówił dalej osobliwy garbus. – Niari dowiedział się, że w drodze powrotnej do Francji zabił pan prawdziwego Thanisa, jak twierdzi, w prawidłowym pojedynku.

– Istotnie zabiłem.

– Wiedział również, że rządowi angielskiemu, pragnącemu utrzymać Thanisa w swoich rękach, aby ściąć głowę egipskiego stronnictwa dążącego do niezależności, udało się sprawić, że uchodził pan za kłamcę i przytwierdził do pańskiego czoła imię twojego przeciwnika.

– Tak, właśnie tak.

– Celem tego było powstrzymanie buntowników przed wyborem nowego przywódcy.

– Niestety!

– Proszę nie lamentować. Niari, który milczał z powodu ślepego oddania ponurej osobie, którą pan zabił, nie chciał dalej milczeć po utrzymaniu wieści o jego śmierci. Jako fanatyczny Egipcjanin nie dopuszczał, żeby *rumi*¹ z Francji nosił „imię jego pana”. Zdradził prawdę sir Parkerowi. Właśnie w tym czasie byliśmy na farmie. Za moją radą właściciel ziemski zabrał swojego więźnia na wybrzeże, aby wsadzić go na statek i wysłać go do Sydney, do Sir Toby’ego Allsmine’a, dyrektora naczelnego policji rejonu Pacyfiku, który miał otrzymać jego zeznania.

Tym razem Robert nie posiadał się z radości:

– Do Sydney, ależ w takim razie muszę tam wrócić, pobiec do sir Allsmine’a...

– Niech pan się tego strzeże, każe pana zamknąć, jak na pewno polecił uwięzić biednego Niarięgo.

– Wobec tego – zawołał zrozpaczony Francuz – jestem zgubiony bardziej niż kiedykolwiek przedtem, i to pan pogorszył moją sytuację... o czym mówi tak chłodno.

Garbus spokojnie wzruszył ramionami.

– Jest pan gorącokrwistym Francuzem, niech postara się zachować spokój. Pańska sytuacja nie jest gorsza niż wcześniej. Na farmie Youle, okupowanej przez wojsko od czasu pańskiej ucieczki, zostałby pan niechybnie pojmany, odesłany jako więzień do Sydney, teraz natomiast jest pan wolny i jest ze mną.

Goniec zarośli, wypowiadając te słowa, wstał. Cała jego osoba przybrała charakter ważności, którą jego gość wyczuł jako narastającą.



¹ *Rumi* – w języku arabskim nazwa chrześcijan i ogólnie Europejczyków, bardzo dawna, od „Rzymianin”.

– Z panem... – szepnął. – Z panem... kim więc pan jest?

– Anglikiem gorąco kochającym swoją ojczyznę, ale który wie-
rzy, że jest słaba władza oparta wyłącznie na nieprawości i kłamstwie.
Chciałbym, żeby Wielka Brytania była panią świata, ale kochaną
przez wszystkich. Potępiam niegodziwości popełnione przez niektó-
rych jej przedstawicieli; cierpię, kiedy słyszę jęki ofiar.

Następnie bolesnym tonem mówił dalej:

– Mnie samego to spotkało: w tej chwili zajmuję się dziełem na-
prawiania tego. Będę chronił pana również, pana, który miał w swoim
sercu tak wiele uczuć, by odważyć się na przemierzanie australijskich
pustkowi. To ani Hador, ani Thanis nie odbiorą Egiptu mojemu kra-
ju; to sama Anglia wyгнаła siebie znad brzegów Nilu w dniu, w któ-
rym zajęła je zdradziecko. Dobrym obywatelem jest ten, kto dostrzega
winy swoich rodaków; ich usuwanie jest jego obowiązkiem. Każda
naprawiona niesprawiedliwość jest dodatkową ozdobą na czole pań-
stwa, jest promieniem apoteozy oświetlającym naród. Dlatego właśnie
zostanie panu zwrócone jego nazwisko, dlatego poślubi pan wybraną
przez siebie narzeczoną, dlatego znów zostanie ponownie Francuzem
pan, który swoją flagę kocha tak samo, jak ja swoją.

W miarę mówienia, nieznajomy przybierał w oczach Roberta su-
werenny majestat i młody człowiek powtórzył z wyraźnym teraz sza-
cunkiem:

– Kim więc pan jest?

Garbus wykonał gest politowania.

– Potrzebuje pan nazwiska, żeby mi zawierzyć – rzekł. – Mam
ich kilka, z których żadne nie jest moje. W Sydney, do którego po-
jedzie pan za mną, nazywają mnie James Pack, prywatny sekretarz
dyrektora policji.

– Sir Toby’ego Allsmine’a? – zawołał kuzyn Lavarède’a, cofając
się o krok.

Garbus jednym gestem powstrzymał lęk, który zdradził ten ruch.

– Proszę się nie obawiać; moje słowa nie zawierają żadnej groź-
by. Mówię panu to, czego nikt poza tym dzieckiem – położył dłoń na
ramieniu swojego młodego towarzysza – nikt inny nie wie. Czy mu-
szę dodawać wyjaśnienia? Niech się więc pan dowie, że prawdziwy

James Pack, wysłany z Anglii do sir Toby'ego, został przeze mnie przechwycony za pomocą środków, które mi są dostępne, i które postanowiłem wykorzystać na moje potrzeby; a to w celu zajęcia jego miejsca, żeby przebywać nieustannie u boku sir Allsmine'a, aby w końcu mieć *dostęp do jego serca i mózgu*, co było konieczne dla moich planów.

Potem nagle, zmieniając ton, tajemniczy biegacz zarośli zakończył:

– Wie już pan wszystko to, co powinien wiedzieć. Czy jest pan gotowy, aby być mi posłusznym, poddać się całkowicie mojej woli?

– Tak – odparł Robert, tym razem bez wahania.

Twarz jego rozmówcy wyraziła zadowolenie.

– *All right!* Wobec tego jutro wyruszymy w kierunku wybrzeża.

Na własnej skórze przekonał się pan, że droga nie jest łatwa. Niech więc pan odpoczywa. Także dlatego, że nadeszła noc, a powinniśmy odejść bladym świtem. Proszę położyć się spać, będziemy nad panem czuwali.

Nawet gdyby Robert nie obiecał posłuszeństwa, polecenie to byłoby dla niego miłe. Owinął się płaszczem, leżał na posłaniu z suchych liści usypanych pod szopą i wkrótce zapadł w głęboki sen, strzeżony przez nieznaną przyjaciół, na których dzięki swej szczęśliwej gwiazdzie natknął się w samym środku pustkowia.

Ponieważ sen tak naprawdę jest jedynie dalszym ciągiem poprzedniego dnia, paryżanin, posiadający teraz sojuszników i broń, miał kojące marzenia senne zabarwionymi odcieniami najjaśniejszej jutrzenki. Odzyska swoją narodowość i nic nie stanie na przeszkodzie, aby Lotia Hador, jego czarująca narzeczona, podzieliła z nim wreszcie odzyskane miano Roberta Lavarède'a.

Oczywiście Robert obudził się potem w doskonałym humorze. Jego towarzysze już wstali i rzekomy James Pack zapytał go wesoło:

– Myślę, że wypoczął pan po swoich trudach, sir Robercie Zero?

– Już o nich nie pamiętam – oświadczył młody człowiek – ale obawiam się, że opóźniłem pański wyjazd.

– Ani trochę, ani trochę. Nasz przewodnik Mora-Mora przygotowuje herbatę. Świetnie sobie z tym radzi. Gorący napój jest w tym bagnistym kraju antidotum na poranne mgły.



W oczekiwaniu na zapowiedziane śniadanie Francuz mógł zająć się swoją toaletą. Pół godziny później odświeżony, wypoczęty, przepelniony przyjemnym ciepłem po wchłonięciu zimnego mięsa i czarki pachnącego płynu, wraz ze swoimi sojusznikami opuścił farmę, na której spędził noc.

Nie bez emocji przemierzał w odwrotnym kierunku drogę, którą kroczył poprzedniego dnia. Jakże zmieniło się jego położenie! Wcześniej był sam, wyzbyty nadziei, mający do obrony jedynie uszkodzoną strzelbę; teraz zaś eskortowali go dzielni towarzysze; wróciła mu nadzieja, a na ramieniu czuł pocieszającą ciężar dobrego karabinu.

Co więcej, przez następne dni nieustannie powtarzał sobie, że powrót na wybrzeże jest nieskończenie bardziej przyjemny niż podróż, którą odbywał oddalając się od niego.

Obfite posiłki, ciekawe rozmowy, postoje w cudownie wybranych miejscach, wszystko to przyczyniało się do podtrzymywania jego zadowolenia. Nieznajomy, który oświadczył, że tymczasowo nazywa się James Pack, był naprawdę urodzonym podróżnikiem. Swoją trasę ustalił z góry, obozy przewidział. Bez najmniejszej wątpliwości dokładnie przestudiował szlak swojej podróży, aby niczego nie pozostawiać przypadkowi.

Co więcej, garbus okazał się czarującym gospodarzem, i ten, któremu wiele razy wyrażał swoją wdzięczność, w końcu mu powiedział:

– Proszę mi nie dziękować. Służę panu, to prawda, ale pan także będzie służył mnie.

– Och! Z całego serca – zawołał Robert – i mocno pragnę, żeby dał mi pan okazję do bycia panu przydatnym.

– Wkrótce pańskie życzenie zostanie wysłuchane.

– Oto dobre słowo. Pan, który wydaje się mieć wszystko zaplanowane, powinien już wybrać chwilę, w której to się stanie?

– Być może.

– Czy zechciałby pan mi ją wskazać?

– Nie, jeszcze nie. Wszystko zależy od jednej okoliczności... Od pomysłu, który przyszedł mi do głowy i którego realizacja nie jest pewna.

– Jeszcze jedno. Kiedy, jak pan sądzi, będzie w stanie uzyskać pewność?

– Następnego dnia po naszym dotarciu do wybrzeża.

– Czyli kiedy?

– Pojutrze.

Na tę odpowiedź Robert nie zdołał powstrzymać gestu zdumienia.

– Spodziewa się więc pan, że jutro znajdzie się nad morzem? – zapytał.

– Tak, a to pana zaskakuje?

– Ogromnie. Zająłoby mi jedenaście dni marszu, aby dotrzeć do punktu, w którym miałem szczęście pana spotkać. Minęły cztery, odkąd go zostawiliśmy, a uważa pan, że jutro...

– Fale będą się łamały u naszych stóp. Właśnie tak. Może być pan całkowicie pewny, że nie ma w tym nic magicznego; po prostu unikałem nadkładania drogi, na co niestety skazała pana nieznajomość tego kraju.

– Nadkładanie drogi, z moim kompasem?

James roześmiał się szczerze ze zdumienia Francuza.

– Ciągłe nadkładanie drogi spowodowane przeszkodami naturalnymi, przez które szedł pan po linii łamanej i pokonywał drogę dwa razy dłuższą, niż było to konieczne. Niech pan niczego siebie nie zarzuca, okazał pan przez to tylko większą odwagę.

Na tym rozmowa się skończyła, ale pomimo wielkiego zaufania, jakie kuzyn Lavarède'a miał do swego nowego przyjaciela, na następny dzień czekał on z prawdziwym niecierpliwością. Przekonał się, czy przewidywania garbusa się sprawdzą i czy będzie musiał stwierdzić, że w australijskim buszu nawet z kompasem bardzo trudno jest trzymać się kierunku północnego.

Do takiego wniosku, ciężkiego dla miłości własnej turysty, musiał dojść wskazanego dnia. Rzeczywiście bowiem nazajutrz, około czwartej po południu, czterej mężczyźni wspięli się na ciąg wydmy i dotarli do plaży ze złotym piaskiem, na której leniwie rozbijały się fale.

Robert pochylił głowę, trochę zdenerwowany; ale szybko oburzył się na ten objaw złego humoru i zwrócił do Jamesa Packa:

- Gdzie jesteśmy?
- Dziesięć kilometrów na zachód od ujścia rzeki Russel – odpowiedział garbus.
- Nie wrócimy do Sydney idąc łądem?
- Nie, zajęłoby to nam całe tygodnie.
- A zatem...?
- Chciałby pan wiedzieć, gdzie jest statek, który nas zabierze?
- Właśnie tak.
- Przybędzie w nocy, żeby nas poszukać – odparł i z figlarnym uśmiechem dodał: – Dam mu znać, że na niego czekamy.

Już chwilę wcześniej oddalili się Mora-Mora i towarzyszący Jamesowi młody chłopiec. Pojawili się ponownie, niosąc naręcza piaskownicy¹, suchej i twardej trawy, która rosła na wydmach.

Na oczach oniemiałego Roberta ułożyli ją w trzy stosy, tworzące trójkąt o bokach mierzących około dwadzieścia metrów.

– Wkrótce nadejdzie ciemność – powiedział James, rozbawiony wyraźną ciekawością Francuza – a wtedy damy sygnał ogniowy.

– Sygnał dla kogo?! – zawołał narzeczony Lotii. – Bacznie wpatruję się w powierzchnię morza, ale nie dostrzegam niczego, co przypominałoby statek!

James pozwolił sobie od razu na szczerą wesołość, która ogarnęła również jego towarzyszy. A kiedy Robert nie ukrył grymasu rozdrażnienia, powiedział:

- Proszę się nie obrażać za moją radość. Mam dla pana niespodziankę, to wszystko. Marynarze widzą nas doskonale.
- W takim razie jest to statek widmo – stwierdził Robert, przemierzwszy wzrokiem całą pustą przestrzeń.
- Nieomal, chociaż ma mocną powłokę z metalu.

Aby przerwać z miejsca pytania młodego człowieka, James oddalił się kilka kroków, dodając:

¹ *Piaskownica* zwyczajna (*Ammophila arenaria*) – trawa z rodziny wiechlinowatych, występująca naturalnie w Europie, Azji Zachodniej i Afryce Północnej, także w Polsce, w Australii zawleczona; rośnie na wydmach nadmorskich, osiąga 1 m wysokości.

– Zjedzmy obiad, dopóki słońce zachodzi za horyzontem.

Nie musiał do tego namawiać. Odłożywszy z żalem zaspokojenie swej ciekawości Robert pomógł przyjaciółom przygotować posiłek, a wkrótce potem wszyscy żarłocznie rozszarpywali leworka¹ i papugi, które tego samego dnia upolował australijski przewodnik.

Tymczasem jaśniejąca gwiazda przemierzała swoją drogę. Dotknęła linii horyzontu, została przez niego przecięta, przestał być widoczna, zostawiając za sobą jedynie, jako ślad po przejściu, czerwony blask łuny.



Potem wyblakły nawet te kolory, przeszły w różowe, fioletowe, szare. Wszystkie rzeczy przybrały odcienie popiołu, które pogłębiały się z minuty na minutę. Noc nad lądem i nad wodą rozciągnęła swój płaszcz cienia.

Wtedy James wstał.

– Rozpalmy ogień! – polecił.

Tego rozkazu oczekiwano, gdyż bez dalszych wyjaśnień Mora-Mora i dziecko pobiegli do jednego ze stosów piaskownicy, podczas gdy garbus ustawił się tuż przy trzecim.

¹ Leworek ciemny (*Hemibelideus lemuroides*) – torbaczk z rodziny pseudopałankowatych, występuje w Queenslandzie, a nie w Australii Zachodniej, nadrzewny, nieduży (do 38 cm długości) z długim ogonem.

Trzy zapalki przebiły ciemność jaśniejącymi plamami. Rozległo się trzaskanie, po czym trzy jasne płomienie uniosły się nad plażą, kierując ku niebu swe tańczące języki.

W ciągu pięciu minut stosy zostały spalone, pozostawiając na ziemi czarne plamy, w których niby rój świetlistych owadów pulsowały iskry.

Dziecko podeszło do garbusa.

– Będą tu za dwadzieścia minut, prawda?

– Tak, mniej więcej.

– W takim razie nadszedł czas, aby Mora-Morze wydać instrukcje.

– Jak zawsze masz rację.

Wypowiadający te słowa głos Packa był łagodny, niemalże pełen szacunku. Robert to zauważył, ale jego uwagę natychmiast odwrócił dialog nawiązany między garbusem a przewodnikiem:

– Mora-Mora, dziękuję ci. Byłeś wierny i oddany. Ciężko jest mi rozstawać się z tobą.

Tubylec się skłonił.

– Kocham ziemię, w której śpią moi przodkowie. Moje życie jest związane z moimi lasami, z moimi pustyniami. Gdyby było inaczej, poszedłbym za tobą.

– Jeszcze się spotkamy, wojowniku, bo wciąż wiele od ciebie oczekuję.

– Mów, Mora-Mora słucha. Będzie posłuszny. Jego serce jest na jego ustach.

– Wiem o tym. Pójdiesz więc do Brimstone Mounts, aby powiedzieć temu, który tam przebywa, że oczekiwana godzina wkrótce wybije. Droga jest długa...

Australijczyk przerwał mu z uśmiechem:

– Każda droga jest krótka dla tych, którzy dobrze chodzą.

– Uczyniwszy to – mówił dalej James – będziesz czekać w pobliżu Trzech Iglic, na brzegu rzeki Schaim, na kogoś, kto będzie *mną*, nie będąc *mną*.

– Zaczekam na niego.

– I go poprowadzisz?

– Poprowadzę go.

– Nie zapomniałeś, gdzie później będę na ciebie czekał?

– Mora-Mora nigdy nie zapomina. Pamięć jest pierwszą cnotą wojownika. Musi zawsze wiedzieć, gdzie przebywają jego przyjaciele, gdzie ukrywają się jego wrogowie. Zapominanie przysługuje wyłącznie kobietom.

Tutaj tubylec urwał na krótko; na jego twarzy pojawiła się mina wyrażająca zażenowanie. Jego oczy spoczywały na przemian się na garbusie i na nastolatku; potem powiedział niepewnym głosem:

– Mora-Mora właśnie powtórzył powiedzenie swojego plemienia. Jest ono błędne. Są też kobiety, które pamiętają.

– Nie mówmy więcej o tym – powiedział szybko James. – Czy po odejściu zaczekasz na sygnał?

– Tak.

– I go rozpoznasz?

– Jest wyryty w moim umyśle.

– Dobrze. A zatem, sławny wojowniku, pozwól, że zanim się zakrętuje, uścisknę twoją rękę.

Obaj mężczyźni wymienili serdeczne uściski, a Robert, coraz bardziej zaintrygowany, szepnął do siebie:

– Niech mnie diabli, jeśli pojmuje, jak zamierza się zakrętować!

Ale ledwo wypowiedział tę myśl, wzdrygnął się; do jego ucha dotarł odległy dźwięk pracy wiosł.

– Śnię – dodał jeszcze.

Nie, nie śnił. Dźwięk ten usłyszeli również jego towarzysze, a Pack powiedział spokojnie:

– Zbliżają się. Do widzenia, wodzu, do widzenia.

– Do widzenia – głuchym głosem powtórzył przewodnik.

W jego tonie kryła się jakaś emocja. Rozłąka najwyraźniej okazała się dla niego ciężka, ale z dumą ras pierwotnych przewyciężył swoje zakłopotanie i zaczął gwizdać.

Tymczasem wiosła uderzały w wodę w niewielkiej teraz odległości. Robert, który nie odrywał już oczu od powierzchni morza, dostrzegł zbliżającą się do brzegu czarną masę. Kształt ten stał się wyraźniejszy, nabral postać łodzi wiosłowej, pojawiły się sylwetki wiosłarzy.

– Ahoj! Na szalupie! – zawołał nagle garbus.

Odpowiedział mu twardy głos:

– Kto woła?

– Ten, który rozpałił trzy ogniska.

Nastąpiło milczenie, a potem padł rozkaz:

– Przybijajcie do brzegu, chłopcy.

Ostatnie uderzenia wiosła i łódź zatrzymała się dziesięć metrów od plaży, jej kil wciął się w piaszczyste dno.

Ludzie, którzy w niej siedzieli, natychmiast wskoczyli do wody, dotarli na suchy ląd i zajęli się przenoszeniem pasażerów na szalupę. Na widok Roberta nie okazali najmniejszego zdziwienia. Pochwycony jak jego towarzysze silnymi ramionami, w mgnieniu oka znalazł się na rufie łodzi wiosłowej, pomiędzy swoimi nowymi przyjaciółmi.

Załoga zajęła miejsca na ławkach. Wzniesione wiosła pokazały, że była gotowa do drogi.

– Do widzenia, Mora-Mora – zawołał garbus; potem zaś zwięzłym głosem człowieka przyzwyczajonego do wydawania rozkazów rzucił: – Płynąć!

Wiosła uderzyły w wodę. Szalupa obróciła się powoli i oddalała od wybrzeża, sunąc na otwarte morze.

Długa fala unosiła leniwie powierzchnię oceanu, delikatnie kołysząc szybko płynącą łodzią. Po upływie chwili brzeg i wysoka postać Australijczyka tkwiącego nieruchomo na plaży zniknęły w mroku.

Czym kierowali się teraz marynarze, pozbawieni jakiegokolwiek punktu odniesienia? To było pytanie, które zadał sobie Francuz. Nie znajdując odpowiedzi, pochylił się do Packa:

– Gdzie jest statek? – zapytał.

– Przed nami – odpowiedział garbus. – Proszę uważać, zaraz zapali swoją latarnię, aby nas poprowadzić.

– Jak to, latarnię?

– Tak, i to jeszcze elektryczną.

Okrzyk kuzyna Lavarède'a był uzasadniony. Około mili od brzegu pojawił się blask, ale zamiast jaśnieć na pewnej wysokości, jak światła na statkach, swoją srebrną światłość rozścielał na samej powierzchni wody. Co więcej, młody człowiek odniósł wrażenie, że palenisko, które go wytworzyło, znajduje się poniżej poziomu fal.

Po zbliżeniu się stwierdził, że się nie pomylił. Latarnia o niezwykłej mocy błyszczała oślepiająco na głębokości kilku stóp poniżej poziomu morza; uwagę Francuza przyciągnął jednakże nowy przedmiot.

Z morza wyłoniła się kopuła, która w środku blasku wydawała się być z bladego złota. Można by rzec, że to skorupa ogromnego żółwia. Na tym przedmiocie poruszały się ludzkie postacie.

Widok był tak fantastyczny, że Robert zaczął się bać, czy nie ma przywidzeń. Uszczypnął się mocno. Ból powiedział mu, że jest całkowicie na jawie. Przetarł oczy i spojrzał ponownie. Przed sobą miał wciąż ten sam obraz.

Wtedy szepnął ścisłym głosem:

– Co to jest?

Odpowiedział mu głos Jamesa Packa:

– To statek, który panu zapowiedziałem!

– Statek...?

– Podwodny, który właśnie wypływa na powierzchnię, żebyśmy mogli wejść na jego pokład. Ale cicho, przybijamy; niech pan tylko słucha, a wszystko zrozumie.

Rzeczywiście, łódź wiosłowa dotarła do kopuły. Tworzyła ją zaokrąglona, eliptyczna powierzchnia, która w swoim najwyższym punkcie wznosiła się nad falami od czterech do pięciu stóp. Mogła mieć dwadzieścia metrów długości i dziesięć szerokości. W jej środku widniał prostokątny otwór, obok którego wznosiła się pokrywa.

– Wejście na mój statek – wyjaśnił garbus. – Proszę naprzód.

Ogromnie zdumiony tą przygodą Lavarède posłuchał. Wszedł na pokład dziwnego statku, a pod jego stopami zabrzmiał metaliczny rezonans.

Za swoim przewodnikiem zbliżył się do otworu, zszedł po nim po lekkich schodach, również metalowych, i znalazł się w przestronnym pomieszczeniu oświetlonym lampami elektrycznymi o kształtach kwiatów w różnych odcieniach. Po prawej i lewej stronie otwierały się korytarze.

Wydał okrzyk:

– Nadzwyczajne!

Na co garbus odpowiedział nie bez ironii:

– Francuzi, Francuzi, zawsze są tacy sami. Dziwicie się, że cudzoziemcy korzystają z wynalazków, które powstały w umysłach pańskich rodaków.





Rozdział II

W którym Robert staje się ułamkiem, który można zapisać: Robert = Pirat Triplex / 3

Młody człowiek otworzył usta, by zadać pytanie. James Pack nie odął mu na to czasu. Chwyił go za ramię, otworzył drzwi i pociągnął swojego towarzysza, po tym jak do stojącego obok nastolatka rzucił to dziwaczne zdanie:

– Możesz znowu stać się sobą.

Kajuta, do której wprowadził Roberta, była luksusowym salonem. Cenne meble, bogate tkaniny, posągi, kosztowne obrazy rozmieszczone w malowniczym nieładzie, stały na przemian z gablotami wypełnionymi skarbami zebranych z dna oceanu: cudownymi perłami, krwistymi koralami, rzadkimi morskoczynami¹. Najbardziej wszakże uderzyła go dziwna dekoracja dwóch ścian.

¹ *Morskoczyn (Fucus)* – rodzaj morskich brunatnic występujących w strefie chłodnej i umiarkowanej, tworzących na wybrzeżach gęste łąki wynurzające się przy odpły-

Były one przebite okrągłymi iluminatorami, wyposażonymi w grube szyby, mocno przytwierdzonymi w oprawach z brązu. Sprawiały wrażenie denek butelek wyrabianych dla piwnic z winami olbrzymów.

James podążył za wzrokiem swojego towarzysza.

– Tam są moje okna. Blachy pełniące funkcję okiennic są teraz zamknięte. Przydatność tych otworów doceni pan później. W tej chwili muszę panu pokazać inne rzeczy.

Mówiąc to, podszedł do stojącego pod ścianką działową fortepianu z palisandru¹. Nad instrumentem wisiały obok siebie dwa duże płótna. Jedno przedstawiało jasnowłosego mężczyznę, eleganckiego i dostojnego; drugie młodą kobietę w całym blasku młodości i piękna.

Garbus przez chwilę przyglądał się im w milczeniu, potem powiedział miękki, pieszczotliwym głosem, w którym dało się odczuć głębokie wzruszenie:

– Lordzie Green, milady Joan, wkrótce wykonam swoje zadanie. Wtedy będę musiał rozstać się z wami i... z wszystkimi, bez żadnej innej nagrody poza wspomnieniem. Dlatego właśnie ulitowałem się nad innym cierpiącym człowiekiem, dlatego przyprowadzam go tutaj, aby włączyć go do mojego dzieła, a sam włączę się do jego.

Wziął Roberta za rękę; zdawał się przedstawiać go beznamietnym portretom. Nagle potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić niepożądaną myśl i nagłym gestem otworzył fortepian.

Pojawiła się klawiatura, dziwna klawiatura złożona z ułożonych naprzemiennie białych i czerwonych klawiszy, z których każdy nosił niezrozumiały dla Francuza znak.

James skupił na nim przenikliwy wzrok.

– Tutaj – powiedział – jest klawiatura kierująca. Opierając palec na jeden z tych przycisków, przekazuję rozkazy sternikowi. Ma on przed sobą podobną klawiaturę. Każdy ruch jednej jest przenoszony na drugą. Znaków, które widzi pan na przyciskach, jest dwanaście. Oznaczają one przechodząc od strony lewej do prawej: naprzód,

wie; na brzegach Oceanu Atlantyckiego morskoczyn jest zbierany do nawożenia pól i produkcji jodu, sody oraz potasu.

¹ *Palisander* – drewno z drzew klimatu tropikalnego z rodzaju *Dalbergia*, barwy brunatnej lub ciemnofioletowej, z ciemnymi smugami, ciężkie i bardzo twarde.

stop, skręt na sterburtę¹, skręt na bakburtę², wynurzenie się, zanurzenie, płynąć z prędkościami 10, 20, 30, 40, 50 i 80 węzłów: to wszystko.

– Nie ma niczego prostszego – oświadczył narzeczony Lotii. – Dziecko posługiwałoby się tym urządzeniem, ale wskazał mi pan tylko białe klawisze; czy czerwone są bezużyteczne?

Garbus skinął głową z pochwałą.

– To spostrzeżenie sprawia mi przyjemność. Dowiedz się więc pan, że urządzenia elektryczne, które mojemu statkowi dają światło, ciepło i napęd, mogą ulec uszkodzeniu i wymagać naprawy. Lecz ponieważ w moim życiu minuty są cenne, nie mogę narażać się na tkwienie w bezruchu. Dlatego zamontowałem dodatkowy silnik wykorzystujący lotne właściwości nadolu³, tego niepalnego eteru naftowego⁴. Kiedy moje prądy są zawieszony, nadol działa, a wówczas znajdują zastosowanie czerwone klucze. Każdy z nich ma to samo oznaczenie, co biały klucz przed nim.

– Rozumiem.

– Jeszcze kilka słów. Maszyny zobaczy pan podczas rejsu, musi poznać jedynie zasady działania mojej łodzi podwodnej. Dotychczas ludzie usiłowali pływać tylko na powierzchni wody; wyobrażali sobie statki-łabędzie, jeśli mogę się tak wyrazić. Wiosła, żagle, łopatkę, śruby są pochodnymi trybu pływania tych błonostopych⁵. Tutaj inspiracją była ryba.

– Ryba, powiedział pan?

– Jak najbardziej, sam pan to oceni. Osobliwością gatunków rybokształnych jest to, że pływają zanurzone całkowicie w żywiole płynnym. Aby utrzymywać się na większej lub mniejszej głębokości, ryby mają pęcherz pławny, który napełniają powietrzem. W ten sposób ustanawiają równowagę z otaczającym je środowiskiem; to

¹ *Sterburta* – prawa, patrząc w stronę dziobu, burta statku.

² *Bakburta* – lewa, patrząc w stronę dziobu, burta statku.

³ *Nadol* – zapewne nazwa wymyślona przez autora.

⁴ *Eter naftowy* – benzyna ekstrakcyjna, mieszanina węglowodorów, z różnych jego rodzajów każdy jest palny.

⁵ *Blonostope* – używane dawniej w nauce francuskiej (*palmipèdes*) określenie ptaków wodnych o nogach z błoną pławną między palcami, zaliczano do nich łabędzie, kaczki i gęsi, czasami również mewy, pelikany, kormorany itp.

znaczy osiągają wagę równą dokładnie wadze wypartej przez nie wody i nie muszą już starać się ani się wznosić, ani zagłębiać, jest to równowaga na danym poziomie. Tutaj pęcherz ryby zastępują zbiorniki z wodą. Mając te zbiorniki puste statek pływa tak, jak w chwili naszego przybycia. Manewr prostą dźwignią otwiera zawory, które pozwalają wodzie wpływać do zbiorników, wtedy następuje zanurzenie: stopniowane tarce wskazują, że ilość wpuszczonej wody odpowiada stanowi równowagi na dziesięciu, stu, tysiącu metrów pod powierzchnią oceanu.

– Tysiącu metrów! – zawołał Robert. – Osiąga pan takie głębokości?

– Schodzę bezpiecznie aż na sześć tysięcy metrów. Kadłub odłamy w trzech częściach wytrzymuje największe ciśnienia. Zachowuje się jak lita bryła.

A gdy Robert wyszeptał:

– Podobne odkrycie...! I nikt takiego nie podejrzewa...!

Garbus odpowiedział z ironią:

– Nikt, tak pan myśli? Przecież zasada, którą właśnie panu wyjaśniłem, została odkryta i sprawdzona eksperymentalnie przez jednego z pańskich rodaków.

– Przez Francuza...?

– Jak najbardziej. Genialnego człowieka, który jeszcze dzisiaj stara się z trudem przekonać ludzi do swojego wynalazku, dzięki któremu podróżują po dnie morza: człowiek zapoznany lub nieznanym współczesnym mu, któremu potomkowie będą stawiali pomniki.

– A jak się nazywa?

– Goubet¹ i ma swoje biuro w Paryżu, przy bulwarze Hausmanna 85, swoje eksperymenty przeprowadzał w porcie Cherbourg, w Docks Saint-Ouen².

¹ Claude *Goubet* (1837-1903) – francuski inżynier i wynalazca; wynalazki z dziedziny maszyn drukarskich, włókienniczych, od roku 1881 pierwszy we Francji pracował nad łodziami podwodnymi, w 1887 zbudował „Goubet I” o napędzie elektrycznym, marynarka wybrała inne modele; w roku 1895 zbudował udoskonalony „Goubet II”, mimo udanych prób w Tulonie w latach 1901-1902 także odrzucony; Goubet zmarł zrujnowany.

² *Bulwar Hausmanna* – jedna z głównych ulic Paryża, w części prawobrzeżnej (VIII I IX dzielnica), długości 2530 metrów, z wielkimi domami towarowymi i dyrekcjami banków, bardzo elegancka; *Cherbourg* – miasto francuskie w Normandii, port wojenny i pasażerski nad Kanałem La Manche, osada starożytna,

– A zatem to wszystko jest prawdziwe?

Za całą odpowiedź James wykonał okrągły gest i wypowiedział te trzy słowa:

– Sam pan widzi.

Tak, Robert to widział. Jeszcze lepiej zobaczył po szybkim spacerze wewnątrz statku. W kwadrans odwiedził pomieszczenie dla załogi znajdujące się na rufie, maszynownię, której cewki, elektromagnesy, ogniwa połączone niezliczonymi drutami z mosiądzu pokrytego nićmi konopnymi i gutaperką¹, sprawiały wrażenie gigantycznego instrumentu smyczkowego. Potem oglądał podwójną śrubę, kabiny, magazyny na żywność, kajuty sterowe, latarnie itp., itd.

Dwaj mężczyźni powrócili do salonu, stanęli przed fortepianem z białymi i czerwonymi klawiszami.

Ogromnie oszołomiony nowymi odczuciami, które właśnie doświadczał, Robert zastanawiał się, próbował uporządkować swoje myśli. Właśnie wtedy garbus położył dłoń na jego ramieniu.

– Widział pan? – zapytał.

– Oczywiście.

– A zobaczywszy to, czy wierzy pan, że człowiek, który posiadałby trzy statki podobne do tego, zostałby panem świata?

– Rzuciłby wyzwanie wszechświatowi.

– No cóż, taki człowiek istnieje. Stoi przed panem.

– Co? Pan...

– Zamówiłem trzy statki podwodne. Mój młody przyjaciel jest moim porucznikiem i dowodzi jednym z nich; czy zechce pan zostać kapitanem trzeciego?

Ponieważ Robert się wahał, najpierw dodał:

w średniowieczu włączona do księstwa Normandii, potem miejsce walk Francuzów i Anglików w czasie wojny stuletniej, od XVII ważny port wojenny, od XIX także przystań transatlantyków, Goubet w roku 1887 odbywał w nim prace nad łodzią podwodną „Goubet I”; *Docks de Saint-Ouen* – znajdują się nad Sekwaną, tuż na północ od Paryża, a nie w Cherbourgu.

¹ *Gutaperka* – substancja pochodzenia naturalnego, pozyskiwana i wykorzystywana w podobny sposób jak kauczuk naturalny, z tą różnicą, że gutaperka w normalnych warunkach jest tworzywem nieelastycznym; jest pozyskiwana z soku mlecznego roślin z rodziny sączyńcowatych, np. z drzewa gutaperkowca.

– Nie będzie już pan rozbrojonym obywatelem, igraszką podejrzanych knoń podstępnej polityki, ale groźnym przeciwnikiem, z którym trzeba się liczyć.

A po chwili milczenia jeszcze dorzucił:

– Ponadto zapewni mi pan nowe nazwisko; te, które będę nosił na morzu.

– Jakie nazwisko, nie pojmuję?

– Wpadłem na pewien pomysł. Pan, mój drugi porucznik i ja będziemy teraz mieć jedno miano, jedną wołę w trzech mózgach, jedną decyzję, którą będziemy wykonywali we trzech, a te wyczyny wrócą świat do góry nogami...

– Miano...?

– Pirata Tripleksa.

– Pirata Tripl... pojmuję... tak, rzeczywiście, trzy statki, trzech kapitanów i zawsze nazwisko Triplex.

– Oznacza to dar wszechobecności... nauka rodząca fantastyczność. Nieuchwytny wróg uderzający wszędzie jednocześnie. Lecz żeby ten plan, powstały ze spotkania z panem, okazał się skuteczny, konieczne jest z pańskiej strony ślepe posłuszeństwo, poświęcenie okazywane w każdej chwili.

Robert wyciągnął rękę i poważnym głosem zapewnił:

– Jestem odtąd pańskim sługą.

Na te słowa twarz Jamesa się rozpromieniła.

– Liczę na pana. Proszę udać się ze mną na pokład.

Chwilę później obie te postacie stanęły przy włączniku i na rozkaz garbusa marynarz podpalił raketę, która w ciemnej nocy zakreśliła parabolę iskier.

W oddali zabłysło szybko światełko, a po nim po kilku sekundach nastąpił stłumiony odgłos strzału.

– Dobrze – szepnął Pirat – Mora-Mora zobaczył sygnał: odpowiedział, strzelając z karabinu; zjeżdźmy na dół, statek ruszy w drogę.

Zaciekawiony Robert chciał zadać pytanie swojemu tajemniczemu towarzyszkowi, ale ten przyłożył palec do ust i młody człowiek, pamiętający o swojej przysiędze posłuszeństwa, nie nalegał dłużej.



Chwilę później obie te postacie stanęły przy włazie i na rozkaz garbusa marynarz podpalił rakietę, która w ciemnej nocy zakreśliła parabolę iskier.

Po ponownym wejściu do salonu James podszedł do klawiatury sterującej. Jego palce przebiegły po przyciskach. Natychmiast prawie niezauważalne dygotanie sprawiło, że podłoga zaczęła wibrować.

– Odpływamy! – wykrzyknął Francuz.

Domyślił się dobrze. Rozpoczęła się żegluga podwodna.

Rozdzierany niewytłumaczalnym uczuciem, doznający intuicji, że pogrąża się w nieznanym, narzeczony Lotii stał nieruchomo, bez żadnych myśli, z nogami przyrośniętymi do ziemi. Nagle się wzdrygnął – otworzyły się z lekkim przesunięciem drzwi salonu.

Spojrzał w tamtą stronę i z trudem powstrzymał okrzyk zdumienia. Na progu stała zachwycająca młoda dziewczyna, o rysach twarzy przypominających ogromnie nastolatka, który w buszu towarzyszył Jamesowi Packowi.

Garbus pojął myśl swojego nowego porucznika i z uśmiechem na ustach, z taką samą swobodą, jakby znajdowali na spotkaniu towarzyskim, dokonał następującego przedstawienia:

– Miss, mam zaszczyt przedstawić pani sir Roberta Lavarède’a; sir Robert Lavarède, oto miss Maudlin Green, której historię panu opowiem.

Następnie dodał melancholijnym tonem:

– Będziecie odtąd włączeni w nasze dzieło, więc nie powinniście mieć więcej przed sobą żadnych tajemnic.

W krótkich zdaniach przytoczył straszne oskarżenie, które trybunał Zielonych Masek rzucił w twarz Toby’emu Allsmine’owi. Opowiedział, jak dyrektor policji, po zabiciu lorda Greena, nakazał pogrążonemu w długach nieszczęśnikowi, nazywającemu się Bob Sammy, aby udał się na farmę nad rzeką Lachlan i utopił małą Maudlin.

– O wszystkim wiedziałem na bieżąco – mówił dalej. – Jak? To mało ważne. Ale uratowałem dziecko. Byłem młody, bez wsparcia; brakowało mi pomocy, której nieśmiało szukałem. Nikt nie chciał zacząć walki z Allsmine’em mającym potężnych obrońców. Mogłem zwrócić córkę matce, ale bałem się, że w ten sposób przekażę ją ponownie temu, który nakazał jej śmierć. Poza tym nie miałem wystarczających dowodów winy. Zapewnienia awanturnika Boba Sammy’ego nic by nie znaczyły przeciwko słowom policjanta. W każdym razie, kiedy się wahałem, ten nędznik poślubił lady Joan Green, wdowę po jego

pierwszej ofierze. Wówczas wpadłem na pomysł, żeby stać się tak potężnym, że każdy opór okaże się wobec mnie bezsilny. Wychowałem małą, która wyrosła na wspaniałą młodą dziewczynę. Narzucałem sobie stale ofiary, ponieważ nie byłem bogaty, a dzięki dyplomowi inżyniera mogłem jedynie zajmować się do kierowaniem wydobywania w kopalni, a czerpane z tego niskie dochody ledwo wystarczały nam na jedzenie. Lecz czuwała sprawiedliwość przyrody.

Miss Maudlin ujęła rękę garbusa, trzymała ją w swojej, patrząc na mówiącego ze łzami w oczach. Uśmiechnął się do niej łagodnie:

– Te wspomnienia są dla mnie miłe, miss Maudlin, ogromnie miłe... a poza tym sir Robert musi wiedzieć.

Mocnym głosem mówił dalej:

– Pewnego dnia w chodnikach kopalni doszło do zawału ściany; gruzy zasypały górników. Kosztem niesamowitych wysiłków wydobyto ich jeszcze oddychających, ale skazanych na szybką śmierć. Wśród rannych był dawny żeglarz, dziwaczna istota. Nie chodził do szynku jak inni, bardzo mało wydawał, z okrutnymi wyrzeczeniami odkładając pieniądze ze swojej pensji. Przezywano go skąpcem. Poszedłem odwiedzić go w szpitalu. Rozpaczliwie walczył ze śmiercią. Pośród swoich cierpień powtarzał nieustannie: „Chcę żyć. Bogactwo! bogactwo!”. W końcu biedaczyna zdał sobie sprawę, że jest zgubiony. Poprosił mnie o spotkanie, a oto rozmowa, jaką wtedy odbyliśmy:

„On. – Panie inżynierze, umrę.

Ja. – Nie, mój chłopcze, nie wierz w to.

On. – Tak, tak, dobrze to wiem. Mówi pan inaczej, bo jest dobrym człowiekiem, ale *żaden grzejnik nie zapobiegnie temu, że nieboszczyk będzie*



miał zimne stopy. Bez zbędnych słów. Zawsze był pan dla mnie dobry,
chcę panu powierzyć odkrycie, z którego sam nie mogę skorzystać (*smutnym głosem*). *Ktoś musi zjeść sałatę, która wyrosła*.

Ja. – No dobrze, słucham was.

On. – Zanim zostałem górnikiem, byłem marynarzem na pokładzie szkunera¹, który handlował kopra² na wyspach Polinezji. Pewnego dnia na brzegu bezludnej wysepki odkryłem ziarenka złota. Nic nie mówiąc o moim znalezisku, rozbiłem skałę i nabrałem pewności, że zawiera pokład złota o niewyobrażalnym bogactwie. Gdybym był mądry, wszedłbym w spółkę z bankierem, uzyskałbym koncesję na wyspę, uruchomiłbym wydobywanie i byłbym dzisiaj bogaczem, może nawet posłem do parlamentu. Niestety! *Sztabka złota w mózgu nie wlewa do głowy oleju!* Oszalałem. Chciałem zachować dla siebie skarb, który wskazała mi natura. Od dwudziestu lat pracuję, odmawiam sobie wszystkiego, chcąc zebrać dość pieniędzy, żeby móc wynająć statek i popłynąć tam w celu wypełnienia go złotem. Moje marzenia o bogactwie się skończyły, a jednak nie chcę, żeby moje cierpienia okazały się daremne. Nie mam ani przyjaciół, ani krewnych. Niech pan, inżynierze, zostanie moim spadkobiercą”.

– Pomyślałem – ciągnął James – że słyszę kogoś majaczącego. Bez wątpienia umierający zauważył to po wyrazie mojej twarzy, bo mówił dalej:

„Nie, nie, jestem w pełni zdrowy na umyśle, panie inżynierze. Niech pan zrobi, co mu powiem, a sam pan zobaczy. Proszę iść do mojej chaty i przełożyć kamienie paleniska. Pod nimi znajdzie pan żelazną skrzynkę zawierającą moje oszczędności w dobrych banknotach i dokładne położenie Wyspy Złota. Proszę wziąć wszystko, daję to panu. Żegnam”.

Chory zamknął oczy i zamilkł. Próbowałem skłonić go do dalszego mówienia; on odmawiał. Najwyraźniej złożone zwierzenie wyczerpało resztki jego sił. Zmarł tego samego wieczora.

¹ *Szkuner* – typ żaglowca; ma co najmniej dwa maszty o ożagłowaniu skośnym.

² *Kopra* – wysuszony miąższ orzechów kokosowych, uzyskuje się z niego olej kokosowy i wiórki kokosowe.

Postąpiłem wtedy dokładnie według jego instrukcji. Odnalazłem skrzynkę, o której mi powiedział. Wewnątrz znajdowało się osiemset funtów (20 000 franków) i mapa archipelagu Cooka, na której jedna z wysepek została oznaczona krzyżykiem. Do mapy przypięta była kartka i przeczytałem na niej:

Krzyżyk wskazuje Wyspę Żłota, jest ona szczytem porośniętym wysoką trawą, na którym rosną rzadkie palmy kokosowe. Na samym wierzchołku znajduje się ogromne martwe drzewo i skały wyglądające jak statek bez masztów, co pozwala rozpoznać to miejsce.

Po upewnieniu się, że górnik nie miał żadnego krewnego, któremu można by przekazać spadek po nim, postanowiłem spróbować. Umieściłem miss Maudlin na pensji¹ i wyjechałem do Australii. Tam wynająłem mały statek i pożeglowałem na nim na archipelag Cooka. Bez trudu rozpoznałem Wyspę Żłota i po ośmiu dniach prac stałem się jednym z najbogatszych spośród bogaczy całej ziemi. Ta skalista masa jest prawie w całości złożona z kwarcu zawierającego złoto. Za jednym zamachem zdobyłem środki do wszczęcia walki z potężnym sir Tobym Allsmine'em.

Moje łodzie podwodne zostały zbudowane w częściach, zamówione, jedne w Anglii, a inne we Francji, Niemczech, Austrii, Stanach Zjednoczonych. Moje statki przywiozły je na Wyspę Żłota, gdzie zostały obsadzone przez załogi złożone z ludzi, do których mam pełne zaufanie. Jedno słowo dowiedzie panu, że mam rację wierząc w nich. Moje załogi składają się z ofiar tyranii dyrektora policji na rejon Pacyfiku.

Potem garbus zakończył spokojnie:

- Teraz wie już pan wszystko.
- Przepraszam, wszystko oprócz jednej rzeczy – przerwał mu Robert, który słuchał z niezmienną uwagą.
- Jakiej? Proszę powiedzieć.

¹ Pensja – dawniej prywatna szkoła z internatem.

– Pańskiego prawdziwego nazwiska.

Na twarzy Jamesa pojawił się cień:

– Nie może być jeszcze wymówione. Nawet miss Maudlin go nie zna. Proszę robić jak ona, widzieć we mnie przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości, prawa. Powiedzieć sobie, że jestem człowiekiem, który nie mogąc być sam szczęśliwym, poświęca swoje życie szczęściu innych.

Chociaż słowa te zostały wypowiedziane beznamyślnie, ujawniły dojmujące cierpienia. Twarz Pirata zbladła, a w jego oczach błyszczało uniesienie męczenników.

Francuz ukłonił się z szacunkiem.

– Kapitanie, rozkazuj. Pańskie polecenia zostaną dokładnie wykonane.

Tajemniczy osobnik wyciągnął do niego rękę i zmienionym głosem powiedział:

– Wobec tego bierzmy się do dzieła. Walka się rozpoczyna.

W ten sposób Robert stał się jedną trzecią Pirata Tripleksa; to on zabierał głos podczas posiedzenia trybunału Zielonych Masek, to on wziął udział w porwaniu Niariego i to on przeraził zacnego dozorcę cmentarza Killed Town.



Chcesz przeczytać dalszą część?
Zapraszamy do księgarni!